

## Wspomnienia

[...] Świtało, kiedy urządzono nam pobudkę – aufstehen, los, los. To nie był zwykły apel. Z kuchni przyniesiono kawę i chleb. Rozdano tzw. suchy prowiant, tj. dodatkową pajdkę. Uformowani piątkami, kolumną przeszliśmy po raz pierwszy przez bramę obozu na zewnątrz. Za bramą przejęli nas żołnierze w mundurach Luftwaffe. Marsz w kierunku stacji kolejowej. Na stacji zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych, ale to już nie były te warunki w jakich jechaliśmy z Pawiaka. Po kilku godzinach jazdy pociąg zatrzymał się. Wysiadać. Było około południa. Znowu uformowani piątkami w kolumnę ruszyliśmy, konwojowani w dalszym ciągu przez lotników. Rozkazy wydawał więzień z opaską na rękawie. Na opasce widoczne białe litery „LÄ Lagerältester” (czyli starszy obozu). Przy numerze zielony winkiel, a więc kryminalista. [...]. Oto nasz obecny pan i władca – August Schneider.

Drugim, wyróżniającym się w tej masie pędzonych nieszczęśników – był więzień z opaską na rękawie i napisem „Werk Capo”. [...]. Był to Robert Nocoń – Ślązak mówiący po polsku.

Po około godzinnym marszu kolumna została zatrzymana. Wokół teren płaski, pola uprawne, w dali jakieś niewielkie zabudowania. Kazano nam zejść w prawo na pole [...]. Usiedliśmy, oczekując co dalej.

Po pewnym czasie ujrzelśmy, że od strony widocznych baraków [...] wyszła grupa 150 może 200 ludzi konwojowanych przez żołnierzy. Z odległości, w której się znajdowaliśmy trudno było dojrzeć co to za ludzie. Mówiono, że to Żydzi. Kiedy minęli nas, ruszyliśmy [...]. Teren o powierzchni około hektara, ogrodzony podwójną linią drutów kolczastych pod napięciem. Przed drutami, po obu stronach bramy wejściowej, dwa baraki. Po stronie lewej, na podmurówce, barak administracji obozowej, tj. komendantury – po stronie prawej barak dla wartowników. Na terenie

---

<sup>1</sup> Ryszard Adam Chelmiński vel Michał Czachowski, ur. 25.03.1924 r. w Warszawie. Aresztowany na terenie Jugosławii 30.10.1943 r. Do KL Gross-Rosen przybył transportem ewakuacyjnym z Pawiaka i otrzymał nr 12330 (seria powtórzona), następnie pierwszym transportem przewieziony do AL Brieg. W 1945 r. ewakuowany do KL Buchenwald (nr 127855).

obożu, tj. za bramą, również dwa baraki. Po stronie lewej, w odległości ok. 10 m od drutów, barak, w którym urządzona była kuchnia. W środkowej części, z wejściem oddzielnym, tzw. rewir, a dalej magazyn żywności. Po stronie prawej podobny barak, w którym mieściły się: pomieszczenie Lagerältestera, szefa kuchni, schreibstuba, 2 magazyny, szklarnia [...]. W drugiej części baraku znajdowała się stolarnia oraz magazyn odzieży. Do obu tych pomieszczeń były oddzielne wejścia z zewnątrz od strony obozu. Teren przed tymi barakami stanowił plac apelowy. Dalej znajdowała się część mieszkalna, czyli tzw. bloki. Były to baraki z dykty o powierzchni w przybliżeniu 10 m<sup>2</sup>. Budek tych było około 70-80 sztuk.

Każdą z takich budek zajmowało 8–12 więźniów. Budki wyposażone były w 2 lub 3 sienniki napełnione tzw. holzwole (wełna drzewna, a właściwie wiórki), 2 koce oraz okrągły żelazny piecyk z rurą wyprowadzoną na zewnątrz. Na noc rozkładaliśmy sienniki na podłodze, na to koce – drewniaki i spodnie pasiaków pod głowę, a przykrycie stanowiła bluza pasiaka. Nogi znajdowały się przeważnie poza siennikiem, na gołej podłodze. Kilka takich budek stanowiło blok. Bloków było 10. Panem i władcą na bloku był blokowy [...]. Brak było sanitariatów. Do mycia służyło żeliwne koryto usytuowane w środku obozu, pod gołym niebem. Wzdłuż koryta biegła rura wodociągowa z kilkoma kranami. WC stanowił dół kloaczny. To stan jaki zastaliśmy. Można sobie wyobrazić jak prymitywne to były warunki.

Toteż w pierwszym rzędzie przystąpiono do wybudowania podstawowych, a niezbędnych do utrzymania elementarnych warunków higieny, urządzeń sanitarnych. W ciągu kilku dni powstał baracek, a w nim WC i umywalnia. Jeden z więźniów przydzielony został do pełnienia funkcji „klozetreinigera” – jego zadaniem było utrzymywanie w tym pomieszczeniu czystości [...].

Blokowymi zostali więźniowie znający język niemiecki. Przeważnie byli to młodzi poznaniacy lub Ślązacy, którzy od pierwszych dni ostro weszli w rolę panów życia i śmierci. Nieodłącznym atrybutem ich władzy była drewniana pałka, pejcz lub podobny przedmiot służący do okazywania swej władzy. Potrafili z byle powodu bić, a poza tym do więźnia nie zwracano się inaczej jak krzykiem. To oni wyróżniali się umiejętnością zadania łokciem w żołądek ciosu, po którym trudno się było utrzymać na nogach [...].

Byli to dwudziestoparoletni młodzieńcy, z upodobaniem wyżywający się na współwięźniach. Ale byli też wśród blokowych ludzie wysokiej kultury, którzy powierzone im funkcje wykonywali w sposób nie uwłaczający

godności drugiego człowieka, jakim był współwięzień. Starali się w miarę, o ile to było możliwe, ulżyć w niedoli. Okazać pomoc i koleżeńskość. Do takich zaliczyć mogę Kazimierza Maleszewskiego oraz Józefa Sobotę (prawdziwe nazwisko Bogdan Banaszewski [...]). Ale nie wykształcenie czy pochodzenie decydowało o postawach. W warunkach obozowych ludzie wykształceni, wywodzący się z kręgu elit intelektualnych załamywali się, stawali się nikczemnymi, podłymi kreaturami, zdolnymi upodlić się do niewyobrażalnych granic, gdy natomiast inni, prości, potrafili z godnością znieść swój nieszczęsny los, nie czyniąc zła.

Znalazłem się w bloku czwartym. Barak (budkę) zajęliśmy w dziewięciu, między innymi z Januszem Natorffem, późniejszym kapem karnej kompanii, i Andrzejem Szadurskim studentem medycyny (studiował na tajnych wykładach). Natorffa poznałem jeszcze na Pawiaku. Andrzej natomiast aresztowany został wraz z ojcem lekarzem i osadzony na Pawiaku przed jego ewakuacją.

[...] Rządy LÄ Schneidera nie trwały długo. Od pierwszych dni organizowania obozu powstały zgrzyty na szczytach władz obozowych. Również Niemcy, tj. Lagerführer i Rapportführer, nie byli zadowoleni ze sposobu i metod prowadzenia obozu przez Lagerältestera Schneidera. Toteż wraz ze Schreiberem Andrzejem Kamińskim zostali odwołani do Gross-Rosen.

Po nim funkcję Lagerältestera objął Robert Nocoń, Ślżak z Gliwic. Pomocnikiem jego, tak jak poprzednio Schneidera, był młody Rosjanin Kola. Kawał łobuza, czepiający się o byle co i o byle co bijący. Schreiberem natomiast został sędzia z Poznania Henryk Suchowiak. Drugim Schreiberem został Arnold Kubański<sup>2</sup>, którego poznałem na Pawiaku [...]

W Schreibstubie zatrudniony był również młody Kazio – nazwiska nie pamiętam [...]. W pomieszczeniu Schreibstuby pracowali także: Tadeusz Brzeziński (prawdziwe nazwisko Ułaniak) – praca jego polegała na malowaniu na miskach do zupy numerów [...] i Rzewuski (imienia nie pamiętam), hrabia – naprawiał Niemcom zegarki. Był bardzo wysoki i bardzo wychudzony. Wraz z nim braliśmy udział w pochówku któregoś ze zmarłych.

Pogrzeb ten pamiętam doskonale. Do niemieckiej kantyny przywiezione zostało zaopatrzenie: piwo, lemoniada itp. Była to zwykła furmanka zaprzęzona w konia. Ponieważ poprzedniego dnia na rewirze zmarł któryś

---

<sup>2</sup> W oryginale Kubalski.

z kolegów, Nocoń zarządził, aby zwłoki zostały pochowane we własnym zakresie, a nie, jak nieraz bywało, wywiezione do krematorium w Gross-Rosen.

W związku z tym zwłoki zawinięte zostały w papę i położone na furmankę. Na to poukładano skrzynki z pustymi butelkami po piwie i lemoniadzie. Lagerkapo Rura wyznaczył kilku więźniów, między innymi Rzewuskiego, Suchowiaka i mnie, jako grabarzy. Ze szpadlami na ramieniu ruszyliśmy za furmanką w tym dziwnym kondukcje pogrzebowym, konwojowani przez kilku wachmanów. O ile poprzednio zmarłych pogrzebano pod murem – znajdującego się w połowie drogi między miastem a obozem – cmentarza, tym razem kondukt nasz zatrzymał się na szosie wiodącej ku miastu. Polecono wykopać dół w odległości kilku metrów od szosy i do niego złożyć zwłoki. Właśnie ten dół kopałem razem z Rzewuskim, który był tak słaby, że dosłownie chwiał się na swych długich nogach. To był ostatni pogrzeb w jakim brałem udział. Poprzednie trzy czy cztery – jak już wspominałem – miały miejsce pod wysokim z czerwonej cegły murem. Pierwszy raz na samym cmentarzu, następnie po zewnętrznej stronie cmentarza. Przy czym zwłoki dowożone były wraz z nami normalną ciężarówką Opel-Blitz.

Organizowanie i porządkowanie obozu następowało w bardzo szybkim tempie. Od pierwszych dni działała kuchnia. Kucharzami i sprawującym nadzór nad zaopatrzeniem i ustalaniem racji żywnościowych byli Czesi. Ten od zaopatrzenia miał niedowład dłoni lewej ręki. Nazywaliśmy go „Łapką”. Do pomocy w kuchni przydzielonych było jeszcze dwóch więźniów. Rewirem, czyli izbą chorych, kierował wyznaczony jeszcze w Gross-Rosen dr Łukawski.

Najważniejsze jednak były komanda robocze. Powstało ich kilka w zależności od firm, które wykonywały na terenie lotniska określone prace. I tak, największymi były: komando Vianowa I i Vianowa II, których prace polegały głównie na robotach ziemnych, plantowaniu terenu pod pasy startowe, kopaniu rowów dla ułożenia kabli, wałów stanowiących schrony dla samolotów itp., Mathiaskommando, 13-Betoniren, Eimer i inne. Na terenie obozu działało Lagerkommando, którego szefem, czyli kapo był Jan Rura (Ruhra?) z Poznania lub poznańskiego [...]. W skład Lagerkommando wchodził dekarze, stolarze, elektrycy, szklarze, szewcy, krawcy, zdun, magazyn narzędzi, magazyn odzieżowy, rewir, a o kuchni już wspominałem.

Dekarzy było dwóch: starszy bardzo ruchliwy, mały o zniszczonej pomarszczonej twarzy poznaniak (imienia i nazwiska nie pamiętam).

Bez przerwy żuł tzw. prymkę, czyli tytoń. Do pomocy miał młodego – może 16–17-letniego – chłopca, również z poznańskiego. Zawsze uśmiechnięty, w odróżnieniu od swojego szefa, raczej nie przykładał się do pracy. Na imię miał Franek. W stolarni zatrudnieni byli: Stanisław Wójciuk – wysokiej klasy stolarz meblowy [...]. Następnie Mieczysław Boreta, kapem stolarzy był Zygmunt Ulfik z Sosnowca. W listopadzie dowieziono kilku więźniów z Gross-Rosen i z grupy tej do stolarni został skierowany Marian Figiel (nazwisko prawdopodobnie nieprawdziwe)[...].

Ze stolarni korzystali zduni. Było ich dwóch. Zygmunt Jarosiński, autentyczny zdun i Mundek (nazwiska nie pamiętam), którego Jarosiński dobrał sobie do pomocy, ponieważ obaj pochodzili z tej samej dzielnicy – zdaje się z Woli [...].

Elektryków było dwóch – obaj z Krakowa [...]. Byli doskonale zorganizowani w markowaniu roboty.

Z szewców pamiętam Mikołaja Salwę, długoletniego więźnia Pawiaka – komunistę i Wincentego Zyskowskiego [...].

Z zatrudnionych w warsztatach (nie pamiętam szewskich czy kra- wieckich?) wyróżniał się Leon Trzciniński z Pruszkowa. Bardzo ruchliwy, średniego wzrostu, był współtwórcą obozowego teatryku. Magazynem narzędzi zajmował się Marian Jaworski (nazwisko lewe?). Kulturalny starszy pan. Oficer WP (AK) – zawsze opanowany, koleżeński, służył radą i w miarę możliwości pomocą.

W magazynie odzieżowym pracował Witold Mączka. Do pomocy miał młodego Stanisława Albinowskiego. Później dołączył do nich Jerzy Szturm.

Na koniec szklarnia – szklarzy było dwóch: Henryk Kowalski, który miał już dłuższy staż obozowy, ponieważ przed Gross-Rosen był w Stutthofie oraz Stanisław Jasiński, autentyczne dziecko Pragi, obrotny spryciarz, a to w warunkach obozowych cecha bardzo przydatna.

W okresie organizowania obozu i tworzenia roboczych komand, przydzielony zostałem do komanda Vianowa. Był sierpień. Z przerażeniem myślałem, co będzie jak nastanie jesień i przyjdą deszcze, mróz i śnieg. Jak już wspomniałem, komando to zatrudnione było przy robotach ziemnych. Razem z Józefem Skwarą i grupą innych, szuflami wyrównywaliśmy teren przed walcem, którym ugniatane było podłoże pod przyszły pas startowy. Na tak przygotowany teren, specjalna maszyna wylewała beton. Popędzanie przez vorarbeitera, który chcąc się przypodobać niemieckiemu majstrowi, pokrzykiwał „planować, planować, planung”. Józef Skwara, człowiek około 50-letni [...], służył mi radą, jak posługiwać się szuflą, by

się nie przemęczyć, jak udawać, że się pracuje i żeby nie podpaść vorarbeiterom czy kapo. Mimo to szybko traciłem siły – stawałem się coraz słabszy. I oto pewnego dnia w czasie apelu dojrzał mnie Rura. Podszedł i zapytał: „co tak źle wyglądasz” – a pamiętał mnie jeszcze z Pawiaka. Kiedy mu oświadczyłem, że pracuję w Vianowa – kazał iść za sobą do Lagerältestera Schneidera – po drodze polecił mi mówić, że jestem szklarzem. Schneider stał w towarzystwie dr. Łukawskiego przed rewirem. Rura wskazując Schneiderowi na mnie powiedział po niemiecku – „ten ma rupturę<sup>3</sup>, a jest szklarzem”. Schneider mruknął pod nosem coś w rodzaju „jeszcze jeden leń” i kiwnięciem głowy jak gdyby dał przyzwolenie Rurze, który zaprowadził mnie następnie do baraku, w którym była szklarnia. Wszystko to potoczyło się tak szybko, że nie zdążyłem nawet pomyśleć, jakie mogą być konsekwencje, kiedy wyda się, że o szklarstwie nie mam zielonego pojęcia.

W szklarni Kowalski i Jasiński przyjęli mnie z radością, sądząc, że wreszcie przyszedł ktoś, kto zna się na szklarstwie. Zmarkotnieli, kiedy wyjaśniłem im, że nie jestem szklarzem. Ale czego się nie robi, żeby przeżyć, a ponieważ obaj byli przedsiębiorczymi – szybko zorganizowaliśmy się, występując jako fachowcy w tym rzemiośle. W pomieszczeniu szklarni 2 x 2 m znajdowały się dwa koziółki, na których położony był blat z grubej dykty, przykryty kocem, skrzynia ze szkłem oraz węgielnica, drewniana listwa – w miejsce przykładnicy – całówka i trójkątny pilnik służący do przycinania szkła.

Zeby przyciąć szkło należało pilnik wyostrzyć w szpic. Pilnik ostrzyliśmy na kole szlifierskim w stolarni. Tak oto zostałem włączony w skład Lagerkommando – co dawało lepsze warunki przetrwania. Praca nie na otwartym powietrzu, w polu, a co najważniejsze niezbyt ciężka.

Pod koniec sierpnia miała miejsce próba ucieczki. Dwóch młodych chłopców (prawdopodobnie Rosjan) uciekło w czasie pracy z komanda. Zostali schwytani – w obozie zaś urządzono widowisko. Mocno już pobici, ubrani w jakieś blazeńskie nakrycia głowy, z zawieszoną na piersiach tabliczką, na której dużymi literami widniało: „Ja uciekłem – ich bin wieder da”<sup>4</sup> – bici po plecach, musieli w tej scenerii przemaszerować wzdłuż ustawionych blokami szeregów. Po czym na wystawionej przed barakiem gospodarczym, gdzie mieściła się kuchnia i rewir, skrzynce, kładli się ko-

---

<sup>3</sup> W oryginale rypturę.

<sup>4</sup> Jestem tu z powrotem.

lejno, a obozowi policjanci odmierzali kijami razy. Po takim biciu żaden o własnych siłach nie był w stanie się podnieść.

[...]

Innego rodzaju próbą ucieczki był podkop z jednego, położonego w ostatnim rzędzie, baraczkę. Sprawa szybko się wydała. Nie nadano jej wielkiego rozgłosu, a winnych, którzy przyznali się, wysłano do Gross-Rosen.

Kilkaset metrów od obozu znajdowała się wiata, pod którą miał być składowany cement potrzebny do budowy dróg i pasów startowych na lotnisku. Trzeba było ułożyć około 100 metrów toru kolejowego, aby wagony z cementem można było dociągnąć możliwie najbliżej wiaty. Do robót tych Nocoń wraz z Rurą wyznaczył około 20-osobową grupę, w której znaleźli się między innymi: Popiel (starszy już człowiek, którego pamiętam jeszcze z Pawiaka), Janusz Natorff [Natodff], Stach Wojtynowski, Janusz Wernik. Po ułożeniu torów, przez kilka dni przenosiliśmy worki z cementem z wagonów pod wiatę.

Innym razem, w liczbie około 10 więźniów, pojechaliśmy ciężarówką kilkanaście kilometrów nad Odrę po piasek. Tego rodzaju wyjścia czy wyjazdy poza obóz były dużą atrakcją. W taki sposób można było poznać okolicę. Kiedyś maszerując przez pobliską wieś, zobaczyliśmy sowieckich jeńców zakładających na słupach linie telegraficzne. Nie byli w złej kondycji i nie wyglądali na wygłodzonych. To raczej my przedstawialiśmy bardziej żałosny obraz. Obóz jeńców sowieckich musiał być w niedalekiej odległości od naszego – mimo to, raczej nie spotykaliśmy ich.

Ruch na lotnisku był duży. Przez cały dzień można było widzieć startujące i lądujące samoloty. Przeważnie myśliwce typu Messerschmit. W dali, gdzie widać było zabudowania hangarowe, od czasu do czasu można było dojrzeć pojedynczy duży samolot, prawdopodobnie czterosilnikowy transportowiec.

Natomiast myśliwce wielokrotnie kołowały po murawie lotniska, w odległości zaledwie kilkunastu metrów od drutów ogrodzenia obozu.

Pewnego razu, przed wieczorem, w czasie wydawania kolacji, obserwowaliśmy jak wystartował myśliwiec i niezbyt wysoko poleciał w kierunku widocznej na horyzoncie ściany lasu i nagle runął w dół. Zobaczyliśmy słup dymu i pędzące w tamtym kierunku samochody straży pożarnej i innych służb lotniskowych. Takie widoki były dla nas krzepiące. Niejeden pomyślał sobie w duchu – „jednego szwaba mniej”.

Życie w obozie toczyło się swoim rytmem. Nowy Lagerältester No-  
coń okazał się sprawnym organizatorem – i choć trzymał obóz w ryzach,  
rzadko sam uciekał się do, tak powszechnie stosowanego w Gross-Rosen,  
bestialskiego bicia. Raczej skłonności takie wykazywali funkcyjni niższego  
szczebla – przede wszystkim blokowi.

W szklarni szybko zorganizowaliśmy się. Braki w fachowych umie-  
jętnościach nadrabialiśmy sprawnością działania. Przede wszystkim  
staraliśmy się, aby nie być zaskoczonym na tym, że nic nie robimy lub że  
nie mamy pojęcia co trzeba zrobić. Doskonałym organizatorem okazał się  
Henio Kowalski. Doświadczenie z pobytu w Stutthofie ułatwiało porusza-  
nie się w nowych warunkach. Umiał zdobywać najważniejsze informacje,  
co, gdzie i z kim należy załatwiać.

Fakt, że nie musieliśmy chodzić do robót ziemnych na otwartym po-  
wietrzu, w zmieniających się warunkach atmosferycznych, dawał wielką  
szansę na przeżycie. Należało tylko bacznie uważać, aby nie podpaść i nie  
stracić tej wielkiej szansy.

Stach Jasiński pozyskał sympatię kucharza, Czecha, a to oznaczało  
możliwość dostania z kuchni np. dodatkowej miski zupy.

Jak już wspominałem, pomieszczenie szklarni znajdowało się na końcu  
korytarza baraku. Okno wychodziło na druty (odległość około 15 m), za  
którymi, równoległe do naszego baraku, znajdował się barak mieszkalny  
wartowników.

Pomiędzy dwoma szeregami drutów przechadzał się pełniący służbę  
wartownik, pojawiający się przed naszym oknem co kilkanaście minut.  
Zaprzyjaźniliśmy się z dekarzami, zwłaszcza z młodym, zawsze uśmiech-  
niętym Frankiem, który chodząc po terenie obozu z wiaderkiem smoły  
znosił różne ciekawe wiadomości. Natomiast jego szef, malutki, może nie  
tak stary, ale o mocno pomarszczonej, zniszczonej twarzy, interesował się  
tylko polityką i tym jaka jest sytuacja na froncie. Informacje te zdobywał  
dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego. Zręcznie nawiązywał  
rozmowy z żołnierzami pilnującymi naszego obozu, a ci w odróżnieniu  
od esesmanów, nie byli gorliwymi wyznawcami hitleryzmu i też myśleli  
o swojej przyszłości i rodzinach.

Zarówno Henio Kowalski, jak i Franek, dzięki swoim umiejętnościom  
i kontaktom „organizowali” np. ziemniaki, podkradając je kucharzowi.  
Z ziemniaków tych robiliśmy placki w następujący sposób. Podziura-  
wione gwoździem denko od puszki po marmoladzie stanowiło tarkę.  
Utarte na tarce ziemniaki, po odcedzeniu wody formowaliśmy na kształt



placków i piekliśmy na rurze piecyka – spalając w nim holzwolle, którą wypełniona była skrzynia ze szkłem. Zdobywanie jedzenia to jedna z głównych myśli, jakie nurtowały każdego w obozie, mimo niezłej organizacji, wszyscy odczuwaliśmy głód. Otrzymywane racje żywnościowe [...] głodu nie zaspokajały. Przeważnie w piątki na kolację zamiast kawy kuchnia przygotowywała „słodką zupkę” – każdy otrzymywał 1/2 litra lekko osłodzonego płynu. Przypuszczam, że był to rozgotowany na rzadko proszek budyniowy. W każdym bądź razie, była to wielka uczta smakowa i miski wylizywane były do czysta, ale głodni byliśmy nadal. Toteż bliskie kontakty z kimś, kto miał jakikolwiek kontakt kuchnią, były nieocenione.

Więźniowie, którzy pracowali poza terenem obozu, w drodze powrotnej podkradali z przyzmy buraki cukrowe zwiezione z pól w pobliże szosy. Więzień, przy którym znaleziono choćby jednego buraka był surowo karany. Nie tylko został pobity, ale bywało, że pozbawiano go kolacji.

Mimo to wielu ryzykowało, nie bacząc na konsekwencje. Burak cukrowy przemycony na teren obozu, był również przedmiotem handlu. W pobliżu ubicacji zorganizowała się giełda, na której można było kupić lub sprzedać np. pajdkę lub pół pajdki chleba, zdobyty papieros, przemycony burak, a nawet otrzymaną na kolację słodką zupę. Proceder ten był ostro tępiony przez blokowych, jak i samego Noconia. Raz na jakiś czas funkcjonowała kantyna obozowa, w której za otrzymane lagermarki (to ci co pracowali w większych firmach) można było kupić kilka papierosów lub coś do zjedzenia, np. moskaliki z cuchnącej beczki lub kiszone buraki.

Drugą, poza głodem, dotkliwie odczuwaną dolegliwością był brak snu. Toteż każdy, gdzie tylko mógł, korzystał z okazji, by choć na chwilę się zdrzemnąć. I my, w szklarni, staraliśmy się też każdą okazję wykorzystać. A warunki były dość sprzyjające. Pomieszczenie znajdowało się na końcu korytarza, więc jeśli ktoś szedł, było go słyhać z daleka. Często nas odwiedzali i zaprzyjaźnili się z nami elektrycy, dwóch młodych „Kra-kusów”. Zawsze chodzili razem. Jeden nosił torbę z narzędziami, drugi zaś rozklekotaną drabinę. Kiedy przychodzili do nas, organizowaliśmy „spanko”. Drzwi do szklarni otwierały się do wewnątrz. W związku z tym drabina ustawiana była tak, aby blokować możliwość otworzenia drzwi. Zabezpieczeni podwójnie – raz poprzez to, że słyhać było kroki na korytarzu, a po drugie przez trudność otwarcia zniecka drzwi, ucinaliśmy sobie drzemkę. Dwóch kładło się na blacie do przycinania szkła, jeden na skrzyni ze szkłem, a jeden z elektryków wchodził na drabinę, opierał głowę o sufit i tak zapadał w drzemkę. Podziwiałem jego umiejętność zasypiania

w tak skomplikowanej pozycji. Z Frankiem – dekarzem umawialiśmy się, aby na ten czas zabezpieczał nas od strony zewnętrznej, tj. aby nikt nie zaskoczył nas przez okno. Były to pokrzepiające chwile, pozwalające na moment zapomnieć o rzeczywistości i głodzie [...].

Kończył się wrzesień. Nocoń z myślą o zbliżającej się jesieni i zimie przystąpił do przebudowy „bazy noclegowej” obozu. Małe budki zaczęliśmy przebudowywać w większe baraki. Powstało 10 baraków wyposażonych po obu długich bokach w dwupoziomowe prycze. Przez środek, pomiędzy pryczami, stał zбитy z desek stół a przy nim ławy. Po prawej stronie od wejścia, w rogu, żelazny piecyk, na ścianie przy wejściu, półki na miski. Dwa małe okienka, jedno w tylnej ścianie szczytowej, drugie w ścianie frontowej. Aby zapewnić cyrkulację powietrza, w dachu baraku wykonane zostały z blachy kominki. Obróbki blacharskie i kominki wykonał Józio Wiśniewski (Eugeniusz Kwiatkowski) z zawodu hydraulik [...]. Kolejną inwestycją, mającą polepszyć warunki funkcjonowania obozu, było wybudowanie łaźni z pralnią i parówką na odzież. Budynek zlokalizowano na przedpolu obozu, w odległości ok. 50 m od bramy wejściowej. Był on parterowy, z pustaków. Wszystkie instalacje hydrauliczne wykonane zostały przez Józia Wiśniewskiego i pod jego kierunkiem. Uruchomienie łaźni wzbudziło wielkie emocje władz obozu, bowiem obiekt miał służyć nie tylko nam, ale również załodze pilnującej obozu – pranie bielizny i odzieży wachmanów. Przy próbach technicznych uruchomienia obiektu asystowali wszyscy najważniejsi, z Lagerführerem, Rapportführerem i funkcyjnymi obozu na czele. Emocji było wiele. Uda się, czy nie. Wreszcie, za którąś kolejną próbą triumfalny okrzyk Józia oznajmił, że wszystko jest w porządku. Udało się. A jak wyglądała pierwsza kąpiel?

Po jednym z apeli wieczornych blokowy Broniek oznajmił, że blok nasz idzie do kąpeli. Z kocami ruszyliśmy do łaźni. Odzież, tj. pasiaki i koce oddaliśmy do parówki, a sami pod prysznicę. Dużo wrzawy, krzyku i pisku, ponieważ woda była raz zimna, raz gorąca – nigdy o temperaturze umożliwiającej normalne mycie. Poza tym mydła było jak na lekarstwo. Po takiej kąpeli nago popędziliśmy na blok. Koce i ubrania pozostały jeszcze w parówce. A trzeba powiedzieć, że wieczorem były już przymrozki. Po jakimś czasie przyniesiono na blok koce i odzież, można było położyć się spać. Było to jednak w szarości życia obozowego coś nowego. Po przebudowie baraków nadal byłem na bloku 4. Blokowym był Broniek. Należał do tych, którzy nie szczydzili razów.

Pewnego razu po kolacji i apelu byliśmy na bloku, kiedy do baraku wkroczył Broniek. A trzeba dodać, że blokowi mieli oddzielne 2 lub 3 baraczki z piętrowymi, wolno stojącymi drewnianymi łózkami, z przyzwoitymi siennikami i kocami. Poza tym była miednica, kana na wodę itp. udogodnienia – tak że nie musieli korzystać z umywalni ogólnej. Do posług i sprzątania wybierali sobie któregoś z więźniów.

Broniek, po wejściu do naszego bloku, wskazał na dwóch kolegów. Jednemu dał do ręki drewnianą pałę i kazał bić tego drugiego. Prawdopodobnie jeden z nich coś zawinił. Kiedy ten markował uderzenia, wyrwał mu pałę i kazał bić temu drugiemu. Ponieważ obaj nie przykładali się solidnie do zadawania sobie razów – poturbował boleśnie obu.

Teren obozu po przebudowie przedstawiał się następująco: dwa baraki, tj. kuchni, rewiru i magazynu oraz administracyjno-warsztatowy z magazynem odzieży, pozostały w usytuowaniu nie zmienionym. Natomiast baraki (bloki) powstałe w wyniku przebudowy z małych budek, usytuowane były tak, że pierwszy rząd stanowiły: blok 1, blok 2 (schonungsblock), blok 3, blok 4. Rząd drugi: blok 5, blok 6, baraki sanitarno-higieniczne, blok 7. Ostatni rząd: to blok 8, blok 9 i 10. Teren pomiędzy barakami kuchni i administracyjno-warsztatowymi stanowił, tak jak poprzednio, tzw. Appelplatz. Pomiędzy blokiem 2 a 3 była droga wewnętrzna, przy której ustawione były trzy baraczki, w których mieszkali blokowi.

Z nastaniem chłódów odzież jaką mieliśmy, tj. pasiaki, nie chroniła przed zimnem. Toteż wielu z tych, którzy chodzili do pracy przy budowie lotniska, próbowali zabezpieczyć się, wykorzystując papierowe torby po cemente. W torbie wycinano otwór i przez głowę wkładano pod pasiak. To rzeczywiście pomagało, ale przyłapany w czasie rewizji był bezlitośnie bity. Ratunkiem było wyrwanie się z rąk oprawców i szybka ucieczka między bloki. Wielu jednak, nie bacząc na konsekwencje, ryzykowało nadal.

Pod koniec października do obozu dostarczono odzież zimową [...]. Oczywiście najlepszą odzież pobrali funkcyjni. Mnie przypadły spodnie, bryczesy z bardzo dobrej szarej wełny. Na prawej nogawce odcisnięty wyraźnie widoczny ślad po odpruciu gwiazdy Dawida. Marynarka w gorszym stanie, z przykrótkimi rękawami. Za to kurtki do kolan, z granatowego materiału, podbitej czarnym baranem, zazdrościli mi wszyscy. Do butów nie miałem szczęścia. Drewniaki, które natychmiast pękały, w związku z czym pięty albo palce wystawały na zewnątrz. A trzeba było nie raz stać na apelu po kilka godzin w błocie lub na śniegu.

[...] Na bloku po apelu i pobraniu kolacji zwykle dzieliliśmy chleb. Wyglądało to tak. Na blok przynoszono podłużne bochenki chleba. Każdy bochenek, jeszcze na kuchni, był nacięty wzdłuż i dwa razy w poprzek, co dawało z każdego bochenka 6 pajdek – teoretycznie po około 150 g. Wszyscy skupialiśmy się przy stole wpatrzeni jak Jurek waży pajdki, aby było sprawiedliwie. Wagę stanowił patyk. Pośrodku patyka sznurek, na końcach patyka sznureczki z zastruganymi na ostro patyczkami. Zawsze siadałem naprzeciw Jurka bacząc, zresztą tak jak wszyscy, aby żadna pajdka nie przeważyła. Po ceremoniale ważenia, jedni zjadali chleb natychmiast, inni dzielili na pół; zjadali połowę, drugą zostawiali na rano do „mehl-zupki”. Starałem się przy odbiorze tak manewrować, aby przypadła mi pajdka ze środkowej części bochenka. Głód zaspokajałem nie wielkością pajdki, ale ilością plasterków, na jakie można ją było rozkroić. Przeważnie udawało się pokroić pajdkę na 6-7 plasterków, ale byli i tacy, co potrafili zrobić z niej 15 plasterków.

Najtragiczniej wyglądali ci, co pokrojone plasterki pajdki posypywali solą – niektórzy nawet z obu stron. To najkrótsza droga na rewir, a następnie do pieca. A było takich wielu. Nie wiem skąd zdobywali sól, a była ona w obozie w cenie. Twierdzono, że sól daje uczucie sytości – ja natomiast obserwowałem jak muzułmianieli. Najpierw zaczynały puchnąć nogi, potem twarz stawała się nabrzmiąta, worki pod oczami itd. Drugą chorobą, która zbierała żniwo była biegunka. Na szczęście u nas zdarzało się to rzadko, ale jeśli ktoś zachorował, to koniec mógł być tylko jeden – śmierć. Żeby zabezpieczyć się przed ewentualnym zachorowaniem stosowano różne metody zapobiegające. Najskuteczniejszą było przypalanie kromki chleba na węgiel, ale najważniejsze było unikać wszelkich świństw, jak np. spleśniałe odpadki, obierzyny itp.

W obozie panował głód, a najmniej odporni byli Rosjanie. Właśnie oni najczęściej rzucali się na wszystko, co znajdowało się na wysypiskach w pobliżu magazynu kuchni. Toteż wśród nich były najczęstsze przypadki zachorowań.

Pewnego razu Franek dekarz przyniósł mi buraka cukrowego. Byłem w tym czasie w stolarni, gdzie Zygmunt Jarosiński wypalał dopiero co wykonany piecyk. Niewiele myśląc włożyłem buraka do popielnika. Po stolarni rozchodził się słodki zapach pieczonego buraka, gdy wtem wszedł Nocoń w asyście dwóch czy trzech blokowych. Gniewnie spojrzął po nas i zapytał czyje to – wskazując na otwarty popielnik z burakiem w środku. Cóż było robić – przyznałem się. To był jeden moment. Wyrznął mnie

tak, że fiknąłem koziołka. Nie zważając na ból szybko podniosłem się i wyprostowany jak struna meldowałem, że buraka znalazłem koło bramy. Nocoń poprzestał na tym wyjaśnieniu i zajął się stolarzami.

Upływał dzień po dniu w szarości życia obozowego. Rano pobudka, śniadanie, apel i wymarsz kolumn do pracy, wieczorem apel i powrót na bloki [...]. Obóz w zasadzie był już zorganizowany. Ci, którzy mieli rodziny na terenach przyłączonych do Rzeszy oraz nie zajętych jeszcze przez wojska sowieckie, mogli pisać listy [...]. Niewielka grupa z nas otrzymała paczki. Zyskiwali oni natychmiast nowych „przyjaciół”, byli to głównie funkcyjni, którzy odpowiednio wykorzystywali fakt otrzymania paczki – każąc dzielić się ze sobą. Biedny więzień licząc na to, że będzie lepiej traktowany lub otrzyma lepszą pracę – dzielił się paczką np. z kapo czy blokowym. Ale los jego i tak się niewiele poprawiał.

Otrzymana z domu paczka czy list podnosiły na duchu i to było najważniejsze. Często paczki i listy otrzymywał Arnold Kubański, ale on już przedtem zaliczał się do elity obozowej z racji tej, że dobrze znał język niemiecki i pełnił funkcję zastępcy Schreiberera. Blokowi za zaszczyt pożyczali sobie bliższą znajomość, czy nawet przyjaźń, z nim – co oczywiście Arnold umiejętnie, dzięki swojej inteligencji, wykorzystywał z pożytkiem dla ogółu. Od niego przenikały do nas istotne informacje o sytuacji na frontach, o zamierzeniach kierownictwa obozu wobec nas itp.

Zaczęły się jesienne wiatry, deszcze i ślota. Kilku kolegów pomyślało o urozmaiceniu życia obozowego i przystąpiło, za zgodą władz obozowych, do zorganizowania teatrzyku. Inicjatorem i głównym organizatorem był aktor scen warszawskich i fehmistrz Władysław Otto-Suski<sup>5</sup>. Sekundował mu zawsze ruchliwy i energiczny Leon Trzeciński z Pruszkowa.

W skład zespołu aktorskiego weszli: Józef Burczyński, Józef Grzelak, Rzewuski II i jeszcze kilku, których nazwisk nie pamiętam. Konferansjerkę przygotował i prowadził Witold Mączka – szef magazynu odzieżowego. Scenę zbudowano w pomieszczeniu stolarni, była to największa powierzchnia w baraku gospodarczo-warsztatowym.

Teksty oraz melodie piosenek wykorzystano z repertuaru warszawskich teatrzyków rewiiowych. Oprawą muzyczną spektaklu zajął się kolega Rzewuski II, który doskonale grał na akordeonie oraz Józef Grzelak grający na skrzypcach. Skąd mieli instrumenty nie wiem. Przypuszczam, że postarał się o nie u komendanta obozu Nocoń, który do całego przedsięwzięcia odnosił

---

<sup>5</sup> W oryginale Osto-Suski.

się bardzo życzliwie. Za urządzenia perkusyjne służyła jakaś pokrywa blaszaka, użyczona przez szefa kuchni, łyżki itd. Kurtyny w zasadzie nie było. Przygotowanie repertuaru, próby, budowa sceny – wszystko to odbywało się po pracy, tj. po powrocie komand do obozu. Tej grupce zapaleńców chciało się po męczącym dniu pracy jeszcze działać – i chwala im za to. Wprowadzili bowiem do ponurego życia obozowego odrobinę urozmaicenia, oderwania myśli o głodzie, pracy – a sił z każdym dniem ubywało.

Odbyły się dwa czy trzy spektakle. Jeden z nich obecnością swoją zaszczycił sam Rapportführer w towarzystwie kilku wachmanów [...].

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Kucharze przygotowali na tę okoliczność lepsze jedzenie i o dziwo – wierzyć się nie chciało – były kotlety mielone, nie wiem z jakiego mięsa, ale dla każdego z nas sama nazwa kotlet przypominała dom rodzinny. Trudno opisać te odczucia, ale było to coś poruszającego, coś co prostowało grzbiet. A kiedy już byliśmy na blokach – zespół aktorski poprzebierany zgodnie z tradycją za diabły, anioły, śmierć, króla Heroda i różne zwierzęta, chodził, a właściwie wpadał – od baraku do baraku – z kołędą. Wszyscy składali sobie życzenia – zamiast opłatka, cieniutki jak bibułka plasterek chleba. No i oczywiście śpiewanie kołęd.

Skończyły się deszcze, spadł śnieg, mróz – zaczęła się zima. I rano, i wieczorem apele odbywały się już w zupełnych ciemnościach. Najbardziej przykre było ranne wstawanie. Zaledwie człowiek się jako tako rozgrzał – leżąc na pryczy ciało przy ciele, a już trzeba było wstawać, wyjść na mróz do umywalni. Potem *mehlzupka* i komandami ustawić się na placu apelowym do wyjścia do pracy.

Legerkommando zwykle stawało wzdłuż baraku, w którym była kuchnia. Staralem się stanąć przy oknie baraku, tak aby przez szybę patrzeć na rozpalony ogień pod kotłem. Wydawało mi się, że patrząc na ogień w otwartym palenisku kotła jest mi cieplej.

W połowie czy pod koniec listopada powstało nowe komando tzw. Waldhauskommando [...].

Na terenie obozu zaczęły krążyć niesamowite opowieści na temat tego komanda. Nazwano je „czekoladka”. Innymi słowy „Kanada”. Na obozowej giełdzie pojawiły się niespotykane dotychczas papierosy, nawet czekolada. W baraku Arnolda Kubańskiego wieczorem gromadzili się blokowi i inni funkcyjni – wychodzili dziwnie podochoceni [...].

Minęły Święta, Nowy Rok, zbliżało się Święto Trzech Króli. 5 stycznia – jak zwykle po powrocie komand z pracy – ustawiliśmy się blokami do

apelu. Apelu jednak nie było. Brak bowiem było 30-osobowego komanda Waldhaus.

Zapałł zmierzch, robiło się coraz ciemniej – apelu wciąż nie było. Staliśmy już tak kilka godzin potwornie zmęczeni i zmarznięci. Bez apelu nie było kolacji. Co się mogło stać. Blokowi i capo pilnowali szeregów, od czasu do czasu wymierzając komuś kijami razy za to, że nie wytrzymał stania i kucnął lub przysiadł na ziemi. Około północy puszczone nas wreszcie na bloki, zarządzając jednocześnie tzw. *blocksperre*, to znaczy, że nikomu nie wolno opuścić baraku.

Na temat komanda Waldhaus zaczęły krążyć różne przypuszczenia. Każdego ogarniał lęk na myśl, co może jeszcze nastąpić.

Następnego dnia rano spędzono nas na plac apelowy. Komanda nie wyszły do swoich codziennych zajęć. Już było wiadomo, że komando [Waldhaus – przyp. A.K.] uciekło.

Zaniepokojenie wzrosło jeszcze bardziej – bowiem zapowiedziano, że gdyby któremuś z wachmanów eskortujących Waldhauskommando stała się krzywda – my wszyscy zostaniemy wykończeni.

Około 10-tej czy 11-tej na placu pojawił się Komendant obozu wraz z Rapportführerem i jeszcze kilku umundurowanych Niemców. Przez szeregi, jak błyskawica przeleciała wieść, że jest jeden z Komanda Waldhaus. Przed barakiem, w którym znajdowała się kuchnia i rewir, ustawiono podwyższenie (jakieś skrzynki). Na podwyższenie wszedł Henryk Zawierucha – capo Waldhauskommando. Do zebranych na placu apelowym przemówił Komendant. Mówił, że znalazła się grupa więźniów, którzy w podstępny sposób, łamiąc obozowy porządek, dopuścili się przestępstwa, podnosząc swoje zbrodnicze ręce na mundur niemieckiego żołnierza i ośmielili się uciec, wiedząc, że za ich wykroczenie my wszyscy zostaniemy ukarani. Był jednak wśród nich jeden porządny więzień – tu wskazał ręką na stojącego obok Zawieruchę – który nie podporządkował się tej bandzie i zameldował o wszystkim władzom niemieckim. Otrzyma on za to nagrodę (papierosy i coś do jedzenia), tamci zaś zostaną schwytani i poniosą surową karę. Podkreślił przy tym, że dzięki właściwej postawie tego więźnia, tj. Zawieruchy, władze są na tropie uciekinierów i niebawem zobaczymy ich z powrotem w obozie [...].

Zawierucha nie wrócił już na swój blok. Został ulokowany w baraku z szewcami, był przy tym otoczony szczególną opieką i pilnowany tak, aby nie stała mu się jakaś krzywda. W krótkim też czasie został odesłany do Gross-Rosen.

Po upływie 2-3 dni rano zrobił się w obozie duży ruch. Przywieziono pierwszą grupę 4 lub 5 schwytanych uciekinierów. Stali pod drutami kilka metrów od bramy.

Po apelu, kiedy komanda wyszły z obozu do swoich zajęć – pozostali na terenie obozu kapo i blokowi wraz z Niemcami zajęli się przywiezionymi uciekinierami.

Najpierw pojedynczo brano ich do baraku komendantury, a następnie wpuszczano na teren obozu, gdzie oczekujący kapo i blokowi oraz Lagerältester urządzili sobie widowisko, znęcając się w wyszukany sposób nad nieszczęśnikami. Rozebrani bez mała do naga musieli turlać się po śniegu, ćwiczyć żabki, robić przez głowę przewroty, oprawcy nie szczędzili im przy tym bicia i kopania.

Od tego dnia prawie codziennie przywożono kogoś ze schwytanych. Po kilku lub pojedynczo. I zawsze to samo znęcanie się [...].

Jednego dnia przywieziono do nas Zygmunta Ulfika. Widok był przerażający. Stał pod drutami, rozebrany prawie do naga, a ciało jego było fioletowe. Twarz sina i opuchnięta, aż trudna do rozpoznania. Nad nim znęcano się szczególnie. Był przecież ostatnio kapem stolarzy, a więc zaliczał się do elity obozowej, którą zdradził. Był mróz, leżał śnieg, on zaś z rękami związanymi do tyłu musiał wykonywać te wszystkie ćwiczenia: skakać żabki, czołgać się, koziołkować itp. Podziw brał jak on to wszystko mógł wytrzymać. Całe to widowisko obserwowałem z okna stolarni. Nigdy nie zapomnę tego obrazu – świecące słońce, leżący śnieg, mróz i ten człowiek, jakby jakaś sina masa miotająca się ze związanymi do tyłu rękami, bity i kopany przy wtórze śmiechów i wyzwisk.

W podobny sposób został potraktowany ostatni ze schwytanych i przywiezionych bezpośrednio do nas. Był to Władek Sankowski.

Po wydarzeniach związanych z opisaną wyżej ucieczką, atmosfera w obozie znacznie się zmieniła, nastąpiło ogólne przygnębienie. Nic nie wiedzieliśmy o ofiarach. Żadnych szczegółów, kto zginął, w jakich okolicznościach, kto ze złapanych został bezpośrednio przewieziony do Gross-Rosen i jaki jest ich dalszy los. Krążyły różne domysły i pogłoski na ten temat, ale nic konkretnego nie było wiadomo.

Życie obozowe toczyło się jednak nadal swoim rytmem, tyle tylko, że Niemcy może byli mniej życzliwi. Myślę tu oczywiście o żołnierzach Luftwaffe, którzy pełnili nadzór nad obozem.

Pewnego słonecznego dnia koło południa rozległy się syreny alarmowe na lotnisku. Dzień był mroźny, połowa stycznia. Niemcy, poza wartow-



nikami na wieżyczkach oraz tymi, którzy pełnili wartę między drutami, zniknęli. Nam zaś z Lagerkommando polecono przerwać pracę i natychmiast udać się do swoich baraków, z zakazem wychodzenia na zewnątrz. Z oddali dochodził głuchy, potężniejszy, coraz bardziej słyszalny warkot samolotów. Pomimo zakazu wychyliliśmy się z baraków obserwując niebo.

Wreszcie potężny ryk maszyn zagłuszył wszelkie odgłosy, a nad nami na wysokości kilku tysięcy metrów pojawiła się ogromna ilość samolotów bombowych.

Lecieli w szyku, majestatycznie, na wschód, zostawiając za sobą białe smugi. Między nimi uwijały się małe, jak ptaszki, punkciki – myśliwce. Patrzyliśmy jak oczarowani. Będą bombardować lotnisko, czy nie?

Pomału, pomału, ta wielka armada oddalała się, aż zniknęła całkowicie. Nastąpiła cisza. Po chwili odezwały się syreny z lotniska odwołujące alarm. Pojawili się Niemcy i wszystko wróciło do normy.

Po powrocie komand do obozu tylko jeden temat był przedmiotem rozmów. Przelot alianckich samolotów. Wiadomości jakie przenikały do obozu o sytuacji na froncie wschodnim budziły mieszane uczucia. Czy i jakie mogą być podjęte działania Niemców wobec nas?

\* \* \*

23 stycznia – apel, śniadanie, komanda nie wychodzą do pracy. Polecenie – rozejść się do bloków. Około 10<sup>00</sup> do baraku wpada blokowy Bronek. Pakować się i wychodzić na plac apelowy. Zamieszanie, ruch, podniecenie. A więc wychodzimy – ale dokąd? Blisko dwie godziny trwało przygotowanie do wymarszu. Piątkami, według bloków, opuszczamy obóz. Konwojują nas żołnierze Luftwaffe, którym towarzyszy kilku esesmanów. Dookoła leży śnieg, idziemy drogą, po której na wozach ciągnionych przez konie lub pieszo z ręcznymi wózkami wyładowanymi po brzegi tobołami itp. dobytkiem, ewakuuje się niemiecka ludność cywilna. Przeważnie ludzie starsi, kobiety i dzieci. Uciekają przed frontem zbliżających się wojsk sowieckich. Zostawili swoje domostwa i tylko z tym, co można było załadować na wóz czy wózek, pieszo uciekają na zachód. Dobrze im tak. Widać przerażenie. Jest zima, więc opatuleni we wszelkie możliwe okrycia wyglądają żałośnie. To już nie naród panów, a przestraszony tłum poruszający się skrajem szosy, aby dalej, aby szybciej. Od czasu do czasu przejeżdża środkiem szosy jakiś oddział wojska. Wśród tego my, popędzani, potykający się z wyczerpania więźniowie.

Po obu stronach szosy, na polach, rozstawione działa przeciwpancerne, z lufami przygotowanymi do strzelania na wprost. Przy nich po kilku żołnierzy. Nie ma czasu na zastanawianie się.

Zapadał zmrok, kiedy dotarliśmy do jakiejś stacji kolejowej, na której stał pociąg zestawiony z wagonów towarowych. Zostaliśmy załadowani do tych wagonów i wkrótce pociąg ruszył. Nie pamiętam jak długo trwała ta podróż, ale musiała być długa, ponieważ pociąg często zatrzymywał się, aż wreszcie zatrzymał się całkowicie i wagony zostały otwarte. Przemarznięci, wyskakiwaliśmy z wagonów i wszystko się wyjaśniło. Dotarliśmy do znanej nam już stacji Gross-Rosen. Marsz przez wieś, ale już opustoszałą. Przed bramą obozu uporządkowanie szeregów, aby piątkami przemaszerować w rytm komendy *links, links und links* itd. Główną drogą, wiodącą od bramy przez środek obozu, dotarliśmy do bramki wiodącej na teren tzw. małego obozu [...].